

Nazywam się Danuta Biernat z d. Nietupska. Ur. 18 XI 1931 r. we Francji w Escuda /rejon Lille/. Ojciec Władysław, matka Janina. Pochodzenie społeczne rolnicze. Natomiast później rodzice mieli sklep, więc ja pochodzę z miasta. Mieszkałam przed wojną w Janowie k. Sokółki woj. Białystok. Byłam dzieckiem, więc nie zajmowałam się niczym. W czasie wywózki miałam niecałe 9 lat. Chodziłam do szkoły. Do żadnych partii politycznych nie należałam. Na kresach znalazłam się, bo tam urodzili się moi rodzice, tam się kształcili, tam mieszkali i ja się tam znalazłam. Rodzice oboje wyjechali do Francji, najpierw ojciec, potem matka. tam się pobrali, tam ja się urodziłam. Po powrocie zamieszkali w Janowie. Zajmowali się handlem, mieli sklep.

Czy pamiętam wkroczenie armii radzieckiej? Pamiętam oczami dziecka. Wkroczyli Niemcy, potem Rosjanie, potem weszło polskie wojsko, było bezkrólewie, potem już Rosjanie na długi czas. Zachowanie się radzieckich żołnierzy? Czy ja wiem? Chyba tylko to, że gdy Niemcy weszli do sklepu, brali co lepsze, co smaczniejsze rzeczy. Natomiast jak Rosjanie przychodzili, brali to, co im wpadło w ręce, co było, co zostało po Niemcach, a też rozgrabiali, co mogli. Taki wypadek pamiętam: był słoć ze śledziami, jedyny, ostatni. Dwie łapy weszły do tego słoja i słoć pękł. Takie mniej więcej było to zachowanie Rosjan. Potem, po tym bezkrólewiu, znowu Rosjanie wkroczyli i - jak mówię - zostali do 1941 r.

Jak wyglądała administracja, tego nie mogę powiedzieć. Jedno pamiętam - no i z historii też pamiętam - że przede wszystkim zaczęli działać Żydzi. U nas takiego Żyda Borucha wybrali Rosjanie na tzw. priedsedatiela. Ojciec już od Ruskich uciekł, a poszukiwali go za to, że brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. I miał ten sklep dlatego, że dostał w nagrodę krzyż Virtuti Militari. Miał pozwolenie na trzymanie broni, potem wyrobił mamie pozwolenie

na broń, bo to różnie bywało z różnymi zbójceckimi bandami - jeszcze przedtem. Przyszło więc przedstawicielstwo od tej nowej władzy, ci Żydzi i kazali nam w 24 godz. opuścić dom i sklep. W sklepie nic nie było, ale dom, jak każdy dom pełen jest zaopatrzenia we wszystko, co człowiekowi jest potrzebne do życia. W 24 godziny gdzie to dać? Po różnych znajomych, po krewnych, czego się zresztą później nie pozbierało.

Ludzie byli prześladowani. Pamiętam taki obrazek. Słyszałam od dorosłych, że Rosjanie pozbierali z całej gminy Janowskiej i z Janowa ludzi, mężczyzn. To byli urzędnicy gminni, nauczyciele, policjanci, leśnicy. Wszystko to było na placu koło kościoła. Potem ich władowali na ciężarówki i wywiezli. To prawdopodobnie byli ludzie, którzy zginęli w Łatyniu. Bo w tej grupie znalazł się mój wujek, Feliks Drapiński, no i już nie wrócił. Gdzie indziej zginął ojca brat, żandarm Kazimierz Nietupski. Takie było pierwsze zetknięcie z wojskiem rosyjskim. To było zaraz po wkroczeniu, zima 1939 na 1940 r.

Myśmy miały być wywiezione w 1940 r. w drugim etapie wywózki. Lecz moja mama kryła się cały czas, lampę trzymała pod stołem, udawała, że nikogo nie ma w mieszkaniu. I tak jakoś dali spokój. Wtedy mieszkaliśmy jeszcze w swoim domu. Potem przyszedł ten Boruch, złapał czas, kiedy mama była w domu i powiedział, żeby ten dom opuścić w 24 godziny. Myśmy wyszły. Ale dlaczego nam kazali opuścić dom? Pewnie dlatego, że postanowili nas złapać. Mogli złapać wcześniej, ale męczyli moją mamę - jak i wielu Polaków - o wzięcie paszportu. Mama tego paszportu wzięć nie chciała. Poza tym kazali mamie oddać krzyż VM, broń i kosztowności. Kazali siedzieć u babci w Sokółce, wzięć paszport i siedzieć spokojnie. Bo kiedyś tam złapali mamę, zaprowadzili na NKWD i powiedzieli, o co im chodzi. Mama powiedziała, że się namysli i że zrobi to, pójdzie

i przyniesie. Ale nie poszła. Wzięła mnie za rękę i uciekła na wieś do znajomych. Myśmy się kryły przed Ruskimi cały rok. Ze wsi na wieś, ze wsi na wieś. Np. jest zima /zima 1940 r. była przepotworna/, my spimy w nieopalanym pomieszczeniu. Tam mieszkał jeden z kuzynów, miał dom. Nas przede wszystkim chowali tam, gdzie niezamieszkałe, żeby się nie wydało. I oto wbiega gospodarz i mówi: "Janka, uciekaj, bo jest NKWD." I wtedy, cokolwiek miałymy - na siebie, palto, buty na bosc nogi i na drugą wieś. Ta ucieczka trwała cały rok. Może opowiem całą tę ucieczkę...

W końcu kiedyś przyuważyli. Było to w Korycinie. Mama była tam też u swojego kuzyna ze mną i jeszcze jedną kryjącą się kuzynką, nie pamiętam nazwiska. To jest wszystko w okolicach Janowa. On też miał jedną część domu wykończoną, drugą niewykończoną. Ale to było lato. Mama odprowadzała tę kuzynkę, która uciekała na drugą wieś. A był jeden taki szczególnie zawzięty enkawudzista, który za mamą ciągle ganiał. On się nazywał Zubow. Mama w pewnej chwili patrzy, na motorze leci ten Zubow. Mama zakryła twarz apaszką i on przejechał. Mama szybko wróciła i mówi: "Zabieram Danke i uciekam, bo widział mnie Zubow." A tu już on podjeżdża. I nie ma jak uciec. Kuzyn mówi: "Druga część domu jest niewykończona, tam są drzwi na strych." Mama podbiega, a tam niestety na klucz zamknięte. Klucza nie ma. Zobaczyli kuzyni, że przytrzasnął mamę, więc kuzynka szybko jajka na patelnię, wódka i żeby tylko ułagodzić. On sobie siadł, popił i mówi: "Nu, ptiszka, popałas. Jeszcze teraz ci dam odlecieć, ale, wsio rawno, i tak pojmaju." No i pojechał.

Któregoś dnia mama była u babci w Sokółce. Babcia była usytuowana tak, że po prawej stronie była milicja, naprzeciw było NKWD w jednym domu, w drugim domu była druga część NKWD, z tyłu było wojsko. Nie ma gdzie uciekać. Więc tam zastał mamę jeden taki, chyba nawet ten Zubow i mówi mamie: "Ty, Nietupska, przyjdź, oddaj, co masz do oddania, dostaniesz paszport i będziesz siedziała sobie

spokojnie. Masz maszynę, będziesz sobie szyła. Co ty chcesz? Czego ty latasz po tych wsiach?" Mama mówi: "Dobrze, ja się namyślę." Jak on poszedł, mama wszystko to pozbierała - była tam taka ładna skórzana teczuszka - i mówi do swojej matki: "Mamo, ja już nie wytrzymuję dłużej, muszę iść. Co ma być, to będzie, a ty się zaopiekuj córką." I poszła. Ale tam w drzwiach stał polski strażnik, bo wszędzie się znajdują Polacy-sługusy. I on mówi tak: "Pani Nietupska, dokąd pani idzie?" Mama odpowiedziała, że idzie zrobić, co oni chcą. On mówi: "Niech pani ucieka tu przez ogrody. Pani dzisiaj stąd nie wyjdzie, na panią dzisiaj jest haczyk." I mama długo nie namyślając się w nogi z powrotem. Rozpoczęła się 3-miesięczna wędrówka. Ale w końcu wystarczyło tego. Jeszcze raz po jakimś czasie mama wzięła to wszystko, spakowała i mówi do swojej matki: "Idę, idę, bo mam dosyć tej ucieczki." Na to wchodzi ciocia, siostra matki i pyta: "Co ty robisz? Te rzeczy, co oni chcą, oddaj." Zabrała. "A teraz - mówi - jak sobie chcesz, to sobie idź. Bo za to, ty będziesz wisieć, kulę w łab dostaniesz za to." Tam była przecież broń mamy i ojca. Ciotka wzięła i zakopała broń gdzieś w ogródku. Potem po wojnie przewrócili ogródek do góry nogami i nie znaleźli tego miejsca.

Mama poszła. Nic jej tam nie zrobili. Kazali paszport wziąć. Mama wzięła ten paszport i rzeczywiście, nie pamiętam, na ile, ale na jakieś parę tygodni, miesiąc, może dwa był spokój, siedziała na miejscu i nikt jej nie zaczepiał. Aż któregoś dnia przychodzi taka Cyganka, Sawicka, mieszkała koło NKWD, sprzątała tam, a mama szyła jej sukienkę. I ona mówi: "Pani Nietupska, niech mi pani wykończy tę sukienkę, bo kto wie, jutro może coś nastąpić, niech mi pani wykończy." "Co może nastąpić?" "Różnie bywa, niech pani skończy sukienkę." No dobrze. Wieczorem przyszła pewna pani i najmłodsza siostra mamy i mówią: "Coś się w nocy będzie działo, bo na każdym rogu stoi karabin maszynowy." Dlatego mówią tak: "Zobaczmy, co się dzieje, pójdźmy na miasto." Ubrały się i pobiegły. Mama nie chciała,

została. Jakis niepokój w sercu miała, jakiś strach, jakby coś miało nastąpić. Potem przyszła ciotka i mówi: "Coś się będzie działo, bo bardzo dużo Ruskich i karabiny maszynowe ustawione na każdym rogu. To straszne wrażenie robi." O 2 w nocy puk-puk do drzwi: "Zdies żywiot Nietupskaja?" Babcia mówi: "Nie ma tu Nietupskiej". "Tutaj jest Nietupska!" "Tutaj nie ma Nietupskiej!" "Otkroj!" To i babcia otworzyła. Weszła Żydówka, 3 żołdatów chyba i jeden oficer. To była polska Żydówka. Żydzi zawsze na usługi wroga byli. Oni mówią: "Proszę pani, proszę wstać, będzie pani ewakuowana do baranowickiego rejonu, bo tutaj będą działania wojenne i my panią ewakuujemy." Mama pyta: "Dlaczego tylko mnie, przecież inni tu zostają?" "Tylko pani. Niech pani weźmie ciepłą bieliznę, ciepłe rzeczy, bo to się pani przyda." Nastąpił krzyk, rozpacz, ciocia przybiegła z sąsiedniego domu, wrzask, mama mdlała, babcia mdlała. A ja poszłam do ubikacji. Mówią: "Ido do ubikacji, w ten sposób zostaniesz." Ale ze mną poszedł sodat. Też byłam na liście. Wróciłam. Babcia już szykowała wszystko, co znalazła, pakowała do worka. Kiedy wszystko załadowała, mama mówi wystraszona: "Dlaczego ja, co ja zrobię ~~sama~~ sama, biedna?" Bo każdy wiedział, że to na Sybir. "Co ja zrobię na Sybirze sama?" Już wynoszą nasze rzeczy, już stoi samochód przed domem. Nawet 2 godzin nie dostałyśmy, to było z pół godziny.

To było lato, czerwiec. To było na 2 dni przed wybuchem wojny po rozejmie. wychodzimy. To było straszne. Cała ulica pełna ludzi, samochodów. Ładują ludzi na te samochody. Mama mówi: "Chwała Bogu, że nie ja sama." No i potem tymi samochodami jedziemy na dworzec. Na dworcu już ustawiony był transport składający się z 80 wagonów. A w każdym wagonie 70, 80, może więcej osób. Wagony bydlęce oczywiście. Patrzymy, jadą różni znajomi: Turowa ze swoją rodziną, Ziejowa z Janowa ze swoją rodziną. To wszystko byli ludzie, którzy czymś im zawinili. Ziejowej mąż był komendantem policji. Razem z moim ojcem uciekli przed Ruskimi. On wiedział, że jak Ruscy wejdą,

on pójdzie na pierwszy ogień. Nas wpędzono do tych wagonów. Wciąż przy akompaniamencie krzyków, płaczu.

Taki moment pamiętam: Moja babcia niosła 5 bochenków chleba. I chciała podać do okienka. Okienka jeszcze nie zakratowane, dopiero później zakratowali. I żołdat uderza babcię kolbą w głowę, babcia pada. I to był ostatni obrazek. Moja ciotka rzuciła się ratować babcię, swoją matkę, też dostała w głowę. I obydwie tak leżały i myśmy nie wiedziały, czy obydwie zabite.

Dojeżdżamy do Białegostoku. Tam doczepili parę wagonów i już pociągnęli. Drobnych stacji nie pamiętam. Wiem, że dowieźli nas do Baranowicz, a potem do Wołkowyska. A w Wołkowysku drugi transport naprzeciw stoi. Polacy z baranowickiego okręgu. Bardzo liczny, nie widać było końca. I wtedy syreny. Nikt nie wie, co się dzieje. Jakieś krzyki, Rosjanie krzyczą: "Mat takaja" itd. Bo to Polacy krzyczą, że to chyba wojna, że nas chyba nie zabiorą. Hanka z mamą siedziały w okienku i rozmawiały z panem z tamtego transportu, z panem, który też wyglądał przez okienko. Tamten powiedział: "Pająk budował sobie most, ale przyleciały inne pająki i ten most rozbiły." Mama mówi: "Słuchaj, wojna!" "Rozmawiać nie wolno, nie wolno!" - krzyczeli Rosjanie i biegali wokoło transportów. Potem powolutku dalej.

Już za Wołkowyskiem rozpoczęło się bombardowanie. Dokładnie nie pamiętam. W każdym razie między Wołkowyskiem a Mińskiem bombardowano nas kilkakrotnie. A tu pozamykane. Bombardowanie wyglądało tak, że tu ludzie krzyk robią, wrzeszczą wniebogłosy, bo się każdy przecież boi. W transport może uderzyć bomba, uciekać nie ma jak. A oni - żołnierze radzieccy - chowali się pod wagonami. I prawdopodobnie w Orszy Polacy wyrwali deski od spodu. A tu "takaja mat", walili na oślep z karabinów i automatów. Niewiele osób uciekło wtedy. W Zelwie nas jeszcze chyba bombardowali i przywieźli

nas do Mińska. Mińsk cały płonął. Wwozili nas do płonącego miasta, zamkniętych, zakratowanych, bez kropli wody, bez niczego. Pamiętam, że raz nasz wagon był tu, a naprzeciwko lokomotywa. I w tę lokomotywę uderzyła bomba. Wszystko to się znalazło w naszym wagonie. W naszym wagonie było dużo dziur, odłamków. No, ale nikt nie został zabity. I ten dym, miał, węgiel, wszystko rzuciło się do naszego wagonu, a wagon aż się zachybotał. Dowiedzieliśmy się, że 3 ostatnie wagony zostały rozbite, bo tam bomba uderzyła. I z tych wagonów i z innych uciekli ludzie. Kto ocalał, to uciekł. Tu się wszystko pali, a Rosjanie ciągle z bagnetami na wierzchu. "Taką mat, kuda, kuda ty!?" Nie pamiętam, ile tam myśmy byli: do wieczora, może 2 dni. Cały czas bez niczego, bez jedzenia, bez wody. Tory były rozwalone, rozbite, z jednej i z drugiej strony. Naprawili. To są diabły. Naprawili to wszystko i pociągnęli dalej cały transport. Mówię tu o swoim transporcie, bo innych nie widziałam. Pociągnęli dalej. Tam też bombardowano. Jeszcze Orsza była za Mińskiem - to już Białorus. I jeszcze jakiś przystanek, gdzie nas bombardowali, ale już nie tak, jak to było w Mińsku, bo Mińsk był straszny. I ostatni raz bombardowano nas w Smoleńsku. A od Smoleńska jak pociągnęli, to pociągnęli aż do Uralu i z Uralu dalej. W tamtą stronę przez Moskwę nie jechaliśmy. Gdzieś dołem, południem, od Mińska. W każdym razie przez Ural przejeżdżaliśmy, a za Uralem zaczął się Sybir.

Nie pamiętam, jak często nas karmili. Codziennie dawali wodę gorącą tzw. kipiątek i dawali jakąś zupę, często dawali śledzie. Żeby męczyć nas pragnieniem. Bo przecież ten "kipiątek", jak mama nazywała, nie wystarczał. Dlatego nie wiem, po co te śledzie dawali. Albo mieli tylko śledzie, albo celowo dawali, żeby męczyło Polaków pragnienie.

Powieźli nas przez Nowosybirsk, Omsk, Tomsk, Krasnojarsk.

I jeszcze dalej. Bardzo ciężka była droga tych ludzi, których wywieźli zimą w 1940 r. Tak słyszałam. Bo tam, gdzie mieszkałam, spotykali się różni ludzie. Różne były etapy wywózki. Ci ludzie opowiadali o dzieciach wyrzucanych bagnetem przez okno, zamrożniętych. Takie różne historie. Ja jechałam latem. Wiem, że nas bardzo nękało pragnienie. Głód mniej, bo każdy w domu coś tam swojemu rzucił.

Jeszcze coś: moja mama była młodą kobietą, bo podczas wywózki miała 28 lat. Ja miałam 9 lat. Z Sokółki, na ile słyszałam, wywieziono połowę ludzi. Z Janowa i okolic około 1000. Wszystkich bogatszych gospodarzy, kolonistów, bo tam byli też Niemcy jeszcze z okresu rozbiorów. I tych wywieźli, bo taki Salzmann był z nami w jednym wagonie.

Wracają nas z powrotem. Wszyscy oczywiście cieszą się bardzo, że jedziemy do Polski. A zawieziono nas daleko za Krasnojarsk. Nie w stronę Irkucka, z rozmowy konwojentów dało się zrozumieć, że wiozą gdzieś w stronę Kamczatki. I stamtąd, a byliśmy chyba na wysokości Irkucka, około 1000 km od Krasnojarska, cofnęli nas. Dość długo, chyba 3-4 dni jechaliśmy z powrotem. Wszyscy cieszyli się bardzo, że jadą do Polski. Ale w Krasnojarskim Kraju jest miasteczko Użur. W tym Użurze zatrzymał się cały transport i tam konwojenci powiedzieli: "Wysiadać, bo dowieźliśmy was do stacji docelowej."

Pociąg stanął w czystym, gołym polu. Jakas rzeczka płynęła, jakieś mokradła były. Nad nimi unosiły się tysiącami jakieś muszki. Sołdaty rzucili się, a było tam parę wagonów tych konwojentów, wyrzucili bety ludzkie i koniec. Pociąg odjechał. A jeszcze zanim odjechał, pani Hanka mówi: "Czekaj, ja ich pożegnam". Moja mama i ona i inne to były młode kobiety, utrudniały im życie, jak mogły.

Wzięły kibel, miotkę, którą sięczysciło rurę od nieczystości i mówi: "Ty taki i taki /imienia nie pamiętam/ stańcie, my was teraz będziemy żegnać." Schowała sobie tę miotkę za plecy, dała mu ją i powiedziała, żeby go pierwsza kula nie minęła, jak pójdzie na front. Co to było: chwycili za pistolety, chcieli ją zabić, ale Polacy ją szybko zabrali. Ja nie mogę mówić o innych, ale koło nas był jeden, któregośmy bardzo nie lubili i mówiliśmy, że jest najwredniejszy. Żołnierze chcieli dzieciom czasem dać cukierki czy kawałek chleba, albo w jakiś sposób pokazywali swoje współczucie. A ten ich karał. Ale poza tym nie było jakiegos szczególnego okrucieństwa. Poza tym uderzeniem mojej babki. Ale to chyba inni. Dlaczego oni wystawiali te bagnety i krzyczeli? Mieli taki rozkaz: pilnować i dowieźć tyle i tyle ludzi i koniec.

To chyba było głębokim popołudniem. Trzeba się było szykować do spania na tych mokradłach. Kto znalazł jakieś deski czy coś, to podłożył, podścielił pod pierzynę i tak jakos przespał. Ale tu naraz narodu pełno się zebrało, tych ludzi z miasta. Przyglądali się nam, zaglądali, nie podchodzili za blisko, ale się przyglądali. Później się dowiedzieliśmy, co to było, kiedy już zamieszkaliśmy u gospodyni jednej z Użuru. Ona mówi tak: "A nam gawarili, szto eto takoj strasznyj narod, jedno oko na czole, 4 ręcę." Dlaczego ich tak straszyli? "A to takoj krasiwij, rozdietyj narod." Bo to każda kobieta pięknie ubrana, apaszka jedwabna, pajęczynki na nogach, lakierki - tak moja mama była ubrana. Jak szła do sianokosów, to oni się znęcali nad mamą, że damulka przyszła. A ona nie miała w czym innym przyjść.

Na drugi dzień, może na trzeci podjechały samochody. Koni nie pamiętam, ale pamiętam byki, bo po raz pierwszy zobaczyłam "kobę", jak mówili. Więc podjechały te byki z wozami, załadowali ludzi i porozwozili do kołchozów. w kołchozie po cztery rodziny, po pięć, sześć rodzin. Nasz kołchoz znajdował się 500-800 km od linii

kolejowej. Jak długo nas tam wieźli, nie pamiętam. Czy bykami, czy samochodem, nie pamiętam. A jedna pani /jest dziś w Białymstoku/ była ponad 1000 km w tajdze.

W tym kołchozie był elewator i tam się suszyło zboże. Poza tym była na lato ogromna zagroda i tam było kołchozowe bydło. Był strażnik tego bydła, u którego mieszkaliśmy, miał gwintówkę, ale nie miał kul. Dali nam mieszkanie w ziemiankach u tych gospodarzy, do których nas przydzielili. Zazwyczaj ten gospodarz dawał jedną izdebkę. Nasz gospodarz, dieduszka Izosim, miał dwie izdebki. Jedną nam dał, a jedną sobie zostawił. Z tym, że w tej izdebce mieszkaliśmy ja z mamą, pani Szymańska z Sokółki z 2 córkami - jedna gruzliczka /oni nie patrzyli, kogo biorą, na łożu śmierci brali/ Irena, a druga Jadzia, później pracowała w Moskwie w Urzędzie Ziemskim. Urząd Ziemski powstał najpierw w Krasnojarsku, a potem w Moskwie. Nie przy Sikorskim, ale przy Wasilewskiej. Potem w Warszawie pracowała w "Trybunie Ludu", teraz już nie żyje. Ona już tam taką karierę zrobiła. W sumie w tej izdebce nas było 5 osób, a potem nam dokwaterowali jeszcze 2 osoby. Dwie kobiety. Już dobrze nie pamiętam: chyba Wałkowa z córką. Tam mieszkaliśmy przez okres początkowy. Zebraли kobiety. Mnie nie, bo byłam dzieckiem, gruzliczki też nie i babci Szymańskiej, bo była za stara, ale wszystkie kobiety, które były zdolnie do pracy. Zabierali na wóz i wywozili włąb tajgi na sianokosy. Sianokosy były w górach. Tam jest Sajon blisko - 500 km od granicy Mongolii. Jak wyglądały te sianokosy? To były mokradła, a na nich kępy trawy i trzeba było tę trawę ścinać. Szli mężczyźni i ścinali kosmi, a kobiety musiały skakać z kępy na kępę i grabić trawę. Raz mama połamala grabie. Nikt niepracujący nie dostawał zapałty. Za tę pracę dostawały pajok - przydział kawałka chleba, którym trzeba się było podzielić z domownikami. Mama musiała się ze mną podzielić. Ja nie dostawałam nic.

Był taki pam, który obok nas mieszkał w kołchozie - Karczewski. Jaką dużą rodzinę miał, nie pamiętam. Karczewski spełniał rolę jakby przewodniczącego grupy w tym kołchozie. On np. jeździł do Szaripowa do rejonu, przywoził zarządzenia. On przywiózł gazetę, która mówiła o amnestii Sikorskiego. No i tak cały czas pracowali na sianokosach. Na tych sianokosach byli Tatarzy. Właściwie nie Tatarzy, a Chakasi. Ludność tubylcza nazywała się Chakasi. To był naród bardzo spokojny, dobry, naród moralnie bardzo dobry. Przecież na początku kobiety nie mogły się kłaść spać z tymi dziadami. Bo to były straszne dziady, żółte, pejsate, skośnookie, bo nie wypadła. Niestety trzeba się było przemóc, bo jak położyć się spać pod krzakiem, to mógł wilk przyjść, albo i niedźwiedź zajrzeć, a poza tym zimno. Później w szałasie, bo budowali sobie szałas, kładli się wszyscy, jedno obok drugiego, aby się tylko zagrzać, bo było potwornie zimno. Chociaż w dzień temperatura dochodziła do 50⁰, to pod kępami woda była lodowata. Krajobrazy piękne. Kwiaty tak cudne, że u nas w ogródkach nie ma takich. A mama mówiła: "Nic nie widzę" i deptała te kwiaty, tę ziemię, wszystko, co miała pod nogą. Z zemsty, z żalu.

Tam pracowali do zimy. A zima jak przyszła, to zasypała po same koniuszki. Jak przywieźli nas do tego kołchozu, to wszyscy musieli się zgłosić do NKWD do Szaripowa. Ten kołchoz nazywał się Kasoj Łażok /i w nim nic nie było, tylko elewator/, a Szaripowo to był rejon, jakby powiat. Karczewski jesienią pojechał do Szaripowa i tam dostał jakąś gazetę. Z tą gazetą przyjechał, pojechał na sianokosy i krzyczy: "Rzucajcie narzędzia, rzucajcie wszystko, amnestia, wyjeżdżamy stąd!"

Ale muszę się cofnąć. Jak nas tam przywieźli, to wszyscy musieli pojechać do Szaripowa. Dali więc byki i wszyscy pojechali. Tam wszyscy Polacy zostali zawiadomieni, że zostali zesłani na ciężkie roboty na 20 lat, tego dokumentu nie mam. Mam natomiast drugi do-

kument, że udostawienie dano Janinie Nietupskiej, żeby się miała czym legitymować i że musi raz w miesiącu meldować się na NKWD, tak jakby miała gdzie tam uciec. Do tajgi pójdzie, to wilki zjedzą. To już był koniec lata. A tam koniec lata to jest koniec sierpnia. Przychodzi początek września, zasypuje śniegiem i już nie ma nigdzie dostępu.

Koniec sierpnia najprawdopodobniej to był. Karczewski przyjechał z gazetą, w której była mowa o amnestii. Pobiegł prędko na siano-kosy, kazał wszystko rzucić. Ludzie porzucali, zaczęli wrzeszczeć. Ci Chakasi i strażnicy Ruscy też, żeby nie rzucać narzędzi pracy, ale oni na byki i przyjechali z powrotem. Każdy się już szykował do drogi, że na pewno pojedziemy do Polski. Ale trzeba się było gdzieś zebrać. Dowiedział się, że Polacy z okręgu użurskiego i Kraju Krasnojarskiego skupiać się będą do tego Użuru. Wszyscy się bardzo cieszyli oczywiście. Aż tu przyszedł jakiś enkawudzista, czy priedsedatiel kołchozu i mówi, że trzeba pojechać do Szaripowa, bo zebranie zwołują. Pojechali. On im nic nie powiedział o amnestii, a amnestia już była 3 tygodnie wcześniej. I on mówił tak: "No, wicie, nie mówiłem wam, bo mężczyźni wszyscy poszli na wojnę, nie ma ludzi do pracy, a trzeba siano zebrać. No więc bardzo prosimy was, żebyście zostali do jesieni, zebrali plony, jakie tu są i siano, a my was potem odwieziemy sami do Użuru." No to Polacy zgodzili się, a tam było 6 czy 7 rodzin w tym kołchozie. Zgodzili się, ale niestety zostali jeszcze całą zimą.

Już była głęboka zima, gdy moja mama pracowała na elewatorze. Powiem, jak wyglądała tam droga. Tutaj jest wieś, potem mały pagórek, na pagórku elewator. Mama szła do elewatora do pracy i jej obowiązkiem było przerzucenie zboża z jednego miejsca na drugie. Dziennie musiała przerzucić 5 ton. Żyły miała jak postronki od pracy w elewatorze, wychodziły jak palec grube. Do elewatora trzeba było dojść, a przecież były wilki. Jak się zrobiło ciemno, to

we wszystkich oknach świeciły się ogienki, bo wilki podchodziły pod dom. A tu trzeba było wyjść na drugą czy trzecią zmianę. I cóż gospodarz ze swoją gwintówką, gdy ona nie ma kul. Była tam 16-letnia dziewczyna, Rosjanka. Brała pokrywki do stukania, do robienia szumu, gospodarz brał płonące żagwie, mama też brała coś do stukania i tak przez stado wilków przechodzili. Ktoś tam wyjechał za wieś, to nie został ani koń, ani człowiek, przywożą tylko same buty, czapkę, rękawice. Takie były wygłodzone. Tak to trwało dość długo. Pomału zaczęli Polacy wyjeżdżać. Transportu nie dali, na własną rękę trzeba było szukać. Moja mama dość długo się starała. Wiem, że po Nowym Roku załatwiła, za wódkę. Nie wiem, skąd ją miała. Za jakieś szmaty polskie, gdzieś musiała dać coś i za to dostała wódkę. wynajęła samochód. Z mąką jechał samochód z elewatora do Użuru. Mama załatwiła z kierowcą, dała mu 0,5 czy 1 l wódki. No i on mówi, żeby siadać na wierzchu, do kabiny nie weźmie, bo tam nie ma miejsca. A mróz 50^o. Mama na workach zrobiła dół, tam włożyła jakieś szmaty, jakiś kozuch, może dieduszka Izosim jej dał, i tam wsadziła mnie, a sama została na wierzchu. I tak dojechalismy do Użuru. W Użurze trzeba było mieć mieszkanie, żeby przyjechać. W międzyczasie mama, pani Puchalska, Zosia i jeszcze ktoś pieszo się wybrały do Użuru. Trochę pieszo, trochę samochodem, trochę furmanką, trochę bykami. I w ciągu 4-5 dni zaszły do Użuru. Po drodze Chakasi. Na przykład jest elewator i one zatrzymały się na popas, na odpoczynek i oni chętnie przyjmowali. Nigdy kobiety nie ruszyli. Co mieli, to dali zjeść, herbatę swojską robili, to napoili. Tak jakoś dotarły do Użuru, tam znalazły jakieś mieszkanie. Nie wiem, jak wróciły. Być może załatwiły jakiś środek lokomocji. To było ponad 500 km. Dopiero mogła załatwić nasz wyjazd następnej zimy.

Już w Użurze mieszkaliśmy, gdy Sikorski ścigał ludzi do Taszkientu. Mama zapisała się na wyjazd. Zadowolona, że wyjedzie ro-

biła zakupy, sprzedawała wszystko, co miała, a miała dużo, babcia nawrzucała jej do worka różnych rzeczy. Sprzedawała poduszki, kołdry, kupowała kaczki, kury, piekła je, szykowała na wyjazd.

Niestety zimą ja zachorowałam na zapalenie opon mózgowych, zginął też Sikorski, droga została zamknięta, nikt nie mógł wyjechać.

Po przyjeździe do Użuru, był to najprawdopodobniej styczeń 43 r., mama zapisała mnie do szkoły. Ja chodziłam do pierwszej klasy od 6. roku, gdy przeszłam do 2., wstąpili Ruscy i cofnęli znowu do 1. Kiedy nas zabierali na Sybir, ja już byłam w 3. klasie. I tutaj, w Użurze, mama mnie zapisała i przyjęto mnie do 4 klasy. Nie umiałam pisać po rosyjsku. Pochodziłam parę miesięcy do 4. klasy, zachorowałam na grypę, po grypie zapalenie płuc, zapalenie opon mózgowych i tak moje chodzenie do szkoły się skończyło. A potem przez rok nie miałam prawa przeciążać sobie głowy.

My byliśmy pod opieką lekarza kolejowego. Użur był podzielony na dwie części. Po tej stronie góry był Użur Żeleznodorożnyj, a po drugiej stronie Gorod Użur. Tutaj, w Żeleznodorożnym, miescili się wszyscy Polacy. Do Użuru z dalekich stron, z tajgi, z okolic 500-1000 km, zjeżdżali się ludzie. Z opowiadań dorosłych wiem, że tych ludzi się nazbierało dużo. Jak pamiętam 470 rodzin, a rodziny były liczne. Myślę, że było tych ludzi 2 tys. lub ponad 2 tys. w samym Użurze. Nie znam dokładnie tych liczb.

Byliśmy pod opieką lekarza kolejowego. Ten lekarz przyjeżdżał i "gryp, gryp..." A ta grypa się przerodziła w zapalenie płuc, a zapalenie płuc w zapalenie opon mózgowych. Aż już nic nie poznawałam. Kiedyś ja nie poznałam kogoś, kto stył u wezglowia. Nazwałam tego kogoś c itką Marychną, a ona została w Polsce. Wtedy mama wpadła w popłoch. A nie tylko my mieszkaliśmy w tym domu. My mieszkaliśmy we trzy: ja z mamą, jedna pani samotna, a po drugiej stronie były dwa pokoje, w których mieszkali ranni oficerowie, którzy przyjechali tam na wyzdrowienie. To prawdopodobnie nie byli stali mie-

szkańcy Użuru. Jeden z nich, taki kamandir, ^{poradził} żeby pobiegła do Użuru. Tam jest wojskowy szpital i żeby poprosiła o przyjazd kogoś z wojskowego szpitala. To była noc i wilki. Ale mama nie patrząc na to, bo dziecko umierające, pobiegła, zaczęła łomotać do drzwi, bo nikt nie chciał otworzyć. Wszedł jakiś dyżurny i pyta, o co chodzi. Mama mówi, że taka i taka sprawa. On mówi, że oni nie mają prawa nas leczyć, bo mamy swojego lekarza kolejowego. Jeżeli ten lekarz kolejowy wystąpi do nich z prośbą, że nie może sobie poradzić, wtedy przyjadą nas leczyć. Mama wpadła w histerię, bo już wyjeżdżając do Rosji miała nerwicę. Wpadła więc w straszne nerwy i zbluzgała go. Ze przywiezli nas na zaturę, nie po to, żeby ludzie żyli, ale na zagładę. Trzeba było tak jak Hitler pozabijać nas wszystkich, a nie przywozić tutaj na powolne męki. On mówi tak: "Niech pani tak nie mówi, wcale tak nie jest. Proszę iść do domu, my zaraz przyjedziemy." I rzeczywiście, to im trzeba przyznać. Nim mama przyszła do domu, już na sankach jechał lekarz. Wziął ją po drodze. Pobadał mnie, a mama pyta, co się stało, dlaczego ona straciła przytomność. On nic nie powiedział, tylko siadł na sanki i pojechał z powrotem. Co zrobił, jak powiadomił innych ludzi, nie wiadomo. W każdym razie za jakiś czas, tej samej nocy, przyjechało 6 osób, lekarzy, kobiety i mężczyźni. I wtedy taki stary doktor, dla nas był stary, 60-letni, badał mnie. Pamiętam, że mnie wziął za kark i pod kolana, bo ja byłam sztywna i mnie zgiął. I z tego bólu ja oprzytomniałam. Ale nie pamiętam, czy coś mówiłam, czy nie i znowu popadłam w stan nieprzytomności. Mama się pyta, co jest, czy będzie żyła. On odpowiedział, że zrobi wszystko, ale jeżeli Bóg da, to wyzdrowieję. Mama się zachnęła, co to, lekarz, a w Boga wierzy. Tutaj rzeczywiście nie powinna nic na nich powiedzieć. Bo robili wszystko. Nie było przecież ani jednego zastrzyku. Przyjeżdżali codziennie, jak nie dwóch, to trzech, nie trzech, to jeden, ale zawsze ktoś był. Iles czasu minęło. Może miesiąc, może

2 tygodnie. W każdym razie już byłam przytomna, już brykałam po łóżku. Mama mówi: "To ja cię przeniosę na łóżko pani Zosi, a tu ci prześcielę." I ruszyła mnie z łóżka. W czasie przenoszenia krew mi się rzuciła z nosa, z ust, ze wszystkich dziurek, jakie człowiek może mieć. krwi mi wyszło chyba z miednica. Mama co rusz podkładała jakieś garnki, jakieś miski. Pamiętam, że z ust i nosa szły mi całe skrzepy, ogromne, grube skrzepy, aż się dusiłam. Mama okropnie się wystraszyła i znowu nocą biegnie do tego szpitala. A to było ze 4 km. Wali do drzwi. wychodzi dyżurny lekarz i pyta, co się stało. Mama opowiada. A on mówi: "Niech pani klęka i Bogu dziękuj. Mysmy na to czekali do dziś." Te skrzepy wszystkie wyszły, teraz Będzie się budować nowa krew. Niech pani idzie, wszystko jest w porządku." Do rana siedział ze mną jakiś lekarz. Od tej pory zaczęła się rekonwalescencja.

Trzeba było dać dużo dobrej żywności, ~~któregoś~~ tłuszczu, powietrze, tego tam nie brakowało, za to się nie ~~placiło~~ płaciło. Suche mieszkanie. Same najlepsze warunki. Tego niestety na Syberii nie można było uzyskać. Dlatego mama dwoiła się i troiła, żeby mnie utrzymać przy życiu. Przehiosaliśmy się do innego mieszkania. Do większego pokoju. Ale w nim mieszkało 5 rodzin. W tatarskiej wiosce mama wymieniła ostatnią kołdrę czy poduszkę na tłuszcz niedźwiedzi. Jedna z naszych pań pozbiierała takiego gruzlika, Polaka, którego wyrzucono ze szpitala. Wyleczono go z tyfusu plamistego i wyrzucono, bo to nie ochronka. Oni się z ludzmi nie patyczkują. To był żołnierz polski. Okazało się, że ma otwartą gruzlicę. Mama się trochę obawiała, bo ja byłam osłabiona. I tak mi groziła gruzlica, a co dopiero prątki. Pani Zosia powiedziała, że ona będzie tak dbać o niego, że nic się nie stanie. I rzeczywiście. Wszystkie psy zaczęły w okolicy ginąć. I nie dość, że jedliśmy niedźwiedzi tłuszcz, to on te psy mordował i wytapiał tłuszcz. I jadł to i ja jadłam. I on wyleczył się i ~~jak~~ ja się wyleczyłam.

Potem mama znów coś miała do wymiany, znowu na tę tatarską wioskę. Bo teraz skorbut zaczyna grozić. Brak witamin. Na cebulę i na czosnek wymieniała. Muszę jeszcze pochwalić tych lekarzy. Nie pozostawili już mnie. Interesowali się, przyjeżdżali. Po prostu zaprzyjaźnili się z nami. Co kto mógł, przywoził. A sami nic nie mieli. Miał kawałek śledzia, miał cukier, miał troszeczkę ziemniaków, to przywiózł. Nawet cukierki. Jakies tam gnieciuchy, ale zawsze. Gospodyni, u której mieszkaliśmy, miała krowinę biedną, też przyniosła świeże mleko. Przez rok, kiedy nie miałam prawa chodzić do szkoły, to był okres mego zdrowienia. Wszystko mi groziło, każda choroba. Z tego czasu pozostała mi anemia, jak to oni nazwali. Skorbut już mi nie groził. Przedtem zęby mi wyłaziły, dziąsła krwawiły. Jak gryzłam chleb, zęby mi się podwijały jak czasem podwinie się paznokcie. Dzisiaj dlatego mama paradentozę. Chodziłam na łąki. Tam było pełno różnych korzonków, łodyżek, cebulek, kłaczki. Mysmy wiedzieli, co się je. Krowy się pasły i mysmy się pasły. Były tam precudne kwiaty. Piwonie były w tajdze, z takimi dużymi pręcikami. Te pręciki były jadalne. Takie jak u nas smolinosy, ale w różnych kolorach, cebulki miały jadalne. Najprawdopodobniej to mnie uratowało. Poza tym była tam roślina podobna do czosnku. Mysmy to wrywali, układali w paczki i na rynku po rublu to się sprzedawało. Bardzo dużo tego jadłam. Ja zapadłam na ten skorbut i córka pani Ziejowej też, bo to z braku witamin. Ale jakoś powoli ten skorbut przeszedł. Potem mi się rzuciła, jak to nazwali, anemia. Jak to wyglądało? Przychodził taki moment, że taka gwiazda przelatowała mi przed oczami. Po tej gwiazdzie ja przestawałam widzieć. Patrzyłam i widziałam, ale była plamka i ona mi zaciemniała obraz. Jak patrzyłam komuś na twarz, to nie widziałam nosa, albo oka. Trwało to gdzieś, zależnie od siły ataku, 15 minut, pół godziny. Potem mijało i przychodziła niemoc. Wszystko jak z waty.

I okropny ból głowy. Jakby ktoś jezdził samochodem po głowie. Jak dostawałam takiego zacmienia, to kładłam głowę na ławce w szkole i nauczycielka wiedziała, że mam atak i dziecko jakieś odprowadzało mnie do domu. Ataki powtarzały się raz na 3-4 miesiące. Potem, jak głowa przestawała boleć, a ona przestawała czasem po 3 dniach, przychodziły mdłości, wymioty, rozwolnienie. Początkowo to było raz na 3 miesiące, potem coraz częściej, co tydzień, potem raz na 2-3 dni, potem co dzień. Inne osoby nie zapadały na taką chorobę, tylko ja. Już do szkoły prawie nie chodziłam. Oni mówili, że to anemia. Dać dużo jedzenia dobrego, witaminy itd. Nie było tego. Ja bym tam umarła, to by mnie zatruło, ale wyjechalismy do Polski. Przez całą drogę nie powtórzyło się to ani razu, a jechalimy miesiąc. Przyjechalimy do Polski. Ja dostałam pierwsza kubek mleka, prosto od krowy, bo babcia pamiętała, że takie lubię. Po tym dostałam 3-dniowego ataku. Strasznie mnie wymęczył. Mama zawołała lekarza. Też stwierdził, że to anemia. Po tym atak nie powtórzył mi się przez 15 lat. Ale to już inna historia. To do dziś mi się powtarza, ale bardzo rzadko.

Jak wyzdrowiałam i ten szkorbut mnie nękał, poszłam do szkoły. do trzeciej klasy. Do czwartej chodziłam i przeszłam do piątej. Do piątej chodziłam do marca. Potem były przygotowania i wyjazd do Polski.

Miasto, jak mówiłam, dzieliło się na dwie połowy. W naszej połowie było dużo Polaków, całe skupisko. Nauczycielki były, uczyły nas języka polskiego, mieliśmy kółko artystyczne. Pani, która teraz jest w Bytomiu, prowadziła takie kółko. Taka Polonia była. Nie wiem, jak to było, bo przecież Sikorski zginął, ale paczki unrowskie szły. Pamiętam, że byliśmy jużna nowym mieszkaniu. 1944 r., może koniec 1943r. W każdym razie pani Ziejowa, bo ona była mężem zaufania, choć było nas tam dużo w tym pokoju, to jeszcze zgroma-

dziła całą dostawę pomocy. Przeważnie mleko skondensowane, smalec w kankach mlecznych, mąka, suchary, ubrania. Czasem smieszne - butki na wysokich obcasach, sukieneczki, sweterki z angory. Potem się to urwało, nie wiem dlaczego. Bo to szło jeszcze po śmierci Sikorskiego.

Kiedy się to skończyło, to zanim wanda Wasilewska nastąpiła, był taki okres ciszy. Nikt się nami nie interesował. NKWD mogło robić, co chciało. Nie było się do kogo zwrócić o pomoc, poskarżyć się. Dopiero później został powołany Urząd Ziemi w Krasnojarsku, potem w Moskwie. Został powołany ZPP z Wasilewską na czele. Wtedy Wasilewska zaczęła też słać pomoc. Pomoc ta była słabiutka. Przychodziły jakieś gazety polskie, książki. Z żywności mąka, tłuszcz w postaci oleju, ale niewiele tego.

Ci Polacy, którzy byli w miasteczku, to byli ci, którzy nie zdążyli wyjść z armią Andersa i ci, którzy nie zdążyli dojść do Użuru. Niektórzy mieli odległość ponad 1000 km i oni szli pieszo przez tajgę. A przez tajgę szło się tylko zimą. Korzystali z jakichś tam środków lokomocji, koni, wołów. Szli rok i ponad rok, dlatego nie zdążyli. Ta droga była tragiczna. Nie było co jeść. Rzadko kiedy było co upolować. Czasem zaszli gdzieś do ludzi prosić. Pan, który później jadł u nas, bo dotarł do nas, jak była jeszcze pomoc unrowska, dostał od pani Zosi przydział jedzenia dla siebie i dwóch synów. Zona umarła po drodze. Strasznie jedli, byli strasznie głodni. Ojciec upominał synów, żeby tak nie jedli, a oni myśleli, że on tak na złość mówi i mówili, że tato jeszcze więcej je. On opowiadał, że kiedyś dziecko umarło i on został, żeby to dziecko pogrzebać. I to dziecko ugotował. Rozpalił, ugotował i nakarmił grupę. I tak robił częściej, jak dzieci umierały. Ale ja tego nie widziałam.

W Użurze gospodyni dała nam kawałek ogródka. Mama jeden kociołek ziemniaków poświęcała na posadzenie, ale było tego niewiele, tylko dla przyjemności praca. Na pewno byłoby tragicznie, bo tra-

giczne były losy wszystkich Polaków, którzy nie umieli sobie pomóc. Mama z panią Ziejową nauczyły się gotować mydło. Mama zdobyła kalafonię, sodę kaustyczną. Poznała jakiegoś człowieka z rzeźni i dostała sadło baranie. Gotowały mydło, a ja z Danusią Ziejową chodziłam na rynek i sprzedawałam to mydło. Poza tym mama coś szyła. Zapisali ją też do artelu, robótkowego, w którym kobiety robiły kominiarki dla żołnierzy, rękawice, skarpety, szyliki. Mama załatwiła, że ona to robiła w domu. Dlatego też mogła nas dopilnować, tzn. Ziejowa, więc mama mogła pracować w artelu i w domu szyć. Szyła w artelu i w domu, robiła mydło i robiła chustki rosyjskie na drutach z angory z pseudoludowymi wzorami. Chciała to w Polsce powtórzyć, ale nie powtórzyła. Robiła też koronki na drutach. Poza tym kradło się. Wszystko się kradło i chleb, i ziemniaki. Chodziło się na pola i kradło się buraki pastewne, marchew. cebulę, cokolwiek było. Poza tym tam była parowozownia. Mieli tam pełno węgla, drewna. Naszym obowiązkiem, moim i koleżanki, było zaopatrzenie domu w opał. Przez całe lato chodziłyśmy kraść węgiel. Zbierałyśmy węgiel na torach i chodziłyśmy na parowozy i tam kradłyśmy. Były też całe kupy bierwion przywożonych z tajgi. Z tych bierwion obdzieraliśmy korę, a dorośli kradli całe bele. W nocy się piłowowało, rąbało i tak szykowało do zimy. Poza tym paliło się piołunem, chodziło się do lasu po karcze. Natomiast nie wolno było drzewka ściąć, bo jakby złapali, groził sąd, zsyłka, albo jeszcze gorsze rzeczy od zsyłki. Tam zawsze była groźba nie tyle obozu, ile kopalni złota i nadmanganianu potasu, a to były straszne kopalnie. Stamtąd już nie wychodził człowiek całkowicie normalny. Dla przykładu: przyszła do nas, do naszego ośrodka, cała była gruba, nie od tłuszczu, ale spuchnięta. Niespełna rozumu była. Gdy się ją spytało, skąd ona, gdzie mieszkała, ona mówiła "Antajski Kraj, duracki rajon". Antajski to Ałtajski. Gdzieś w Ałtaju była. A "du-

racki" - to już nie domyśliliśmy się. Ona nie miała żadnego paszportu, żadnego dokumentu. Na NKWD pytano ją, a ona "Antajski kraj, duracki rajon", a ci pękali ze śmiechu. Przyszła też taka pani Julia z kopalni złota. Cały czas patrzyła na swoje ręce i mówiła: "Lula, ty masz złote ręki." U nas doszła do jakiego takiego zdrowia. Jak wyjeżdżaliśmy, to była zdrowa. Uratowała dwoje dzieci. Pewna matka umarła, zostało 5 dzieci, sierot. Postanowili do ochronki dać, ale dzieci nie chciały się rozstać, zwłaszcza najstarszy syn, 12-letni, bo do różnych ochronek mieli je dać. W końcu dwoje wzięła pani Julia, a troje poszło do ochronki razem. Julia przyjechała z tymi dziećmi do Polski. Ojciec tych dzieci już wieć działo, że ona ma te dzieci, bo ochronka pierwsza wróciła do Polski. A potem ożenił się z nią.

W Użurze matka pracowała w artelu krawieckim. Z panią Ponturówną, z panią Baranowską. Tam pracowało ze 20 kobiet. Polki miały wielki popyt. Szczególnie u rosyjskich komandirsz i oficerów. Tymczasem w artelu nakładali wysokie normy, a pracowało się chyba od 6 do 18, cały dzień. Dlatego mama chciała się zwolnić, bo nie mogła szyć w domu, albo pójść na chałupnictwo. Tam pracowała cały czas od wiosny 1943 r.. W 1944 czy 45 r. została zwolniona. Oprócz pracy w szwalni robiła różne rzeczy. Szyła całymi nocami, kradła, co mogła i gdzie mogła. Ale tego, co ukradła nie starczyło nawet, żeby jako dziecko się najadła. A ukradzonego opału nie starczyło żeby ogrzać mieszkanie. Kładło się do łóżka, to były prycze zbite z desek, pościel wilgotna, a po kątach był szron. Matka chciała odejść z artelu i postanowiła się zwolnić, ale zwolnić się nie można było, bo był przymus pracy. Tam jesteś, mieszkasz w tym kraju i musisz pracować. Tam nie było ludzi, którzy nie pracowali. Były jedynie bandy, które nie pracowały. A band było bardzo dużo. Kałmycy, własowcy, poza tym pełno jakis ludzi, którzy nie byli rejestrowani i trudnili się rozbojem. Na rynku, gdy kradli z kiesze-

ni, nie można było powiedzieć, że kradną, bo nawet na rynku zdarzało się, że pocięto płaszcz czy zadżgano człowieka. Mieli pod paznokciami żyłki, potrafili uderzyć po nosie i nos odciąć. Strach było złapać złodzieja. Pani Ziejowa złapała złodzieja na kradzieży pieniędzy, bo akurat sprzedawała mydło. Oczywiście on już pieniędzy nie miał, bo podał następnemu. Ona go za kark i na milicję. Ale tam wszystko było skorumpowane. On mówi: "Ty wyjdiesz, a ja będę pierwszy przed tobą." Ale wszystko jedno, zaprowadziła go na milicję. I rzeczywiście, zanim ona wróciła na rynek, on już tam był. Parę razy ją tam chcieli ukatrupić, zaczajali się na nią, ale szczęśliwie się składało, że zawsze jakiś człowiek był w pobliżu.

Mama koniecznie chciała pracować w domu, bo wiedziała, że jak będzie pracować w domu, to będzie miała mleko, ser, jedzenie. Ale przedsiębiorca nie pozwalał. Oprócz tego tam był krojczy, który powiedział mamie, że jak z nim zostanie, nie będzie miała biedy. Ale ona go nie ~~chciała~~ chciała. On bardzo przesładował mamę. Przychodził do domu, szantażował. Przychodził do domu i chciał, żeby mu dała cwiartkę wódki, a jak nie, to on nie da jutro roboty. Jak nie będzie miała roboty, to nie zrobi normy i będzie wisiała na tablicy za sabotaż. A sabotaż to proces i może się coś przydarzyć. Dlatego ona robiła wszystko, by tę wódkę kupić i dać mu. A on przychodził regularnie. Pijany przychodził, awanturował się. Kiedy postanowiła się zwolnić, to nie od razu pisała do Urzędu Ziemskiego czy do Wasilewskiej, ale nagabywała przewodniczącego. Jak się okazało, że nie chcą zwolnić, bo jest dobrym pracownikiem, to poszła do NKWD. A tam ją znali, bo była pyskata. Tu dygresja, żeby pokazać, jaka była moja mama.

Był to okres paszportyzacji. Polacy nie chcieli brać. Uciekali po piwnicach, do lasu. W tajdze się nie schowasz długo. A oni łapali Polaków, bili, wypuszczali, żeby tylko zgodzili się przyjąć

obywatelstwo ZSRR. Pomimo, że mama w Polsce już ten paszport dostała. To nieważne. Jak podpisałeś, to zginąłeś tam na zawsze, tak to sobie Polacy tłumaczyli. Jak zostałeś obywatelem ZSRR, to możesz pożegnać się z Polską. Oni tłumaczyli pani Ziejowej, bo ją wiele razy wzywali, żeby Polacy wzięli te paszporty, że kiedy przyjdzie czas wyjazdu do Polski, to im nic nie zaszkodzi. I że ona powinna wziąć dla przykładu. Więc ona przychodzi do mamy: "Niech ja nie zostanę sama, weź ty ze mną ten paszport." Bo nie ma innego wyjścia, bo wezmą do kopalni. Poszły i wzięły. Wtedy się wszyscy Polacy odwrócili. Nazwali je zdrajcami. Mama potwornie rozpaczła, że już nie zobaczy Polski. Wtedy właśnie przechodził pod oknami naszego domu przewodniczący NKWD. Pani Ziejowa była opanowana, jak to nauczycielka, a mama wybuchowa, wulkan kobieta. Wskoczyła więc z domu i do niego. Tyle widzieliśmy, że macha rękami, prawie go bije, a że potrafi, to wiedzieliśmy, bo jednego Ruskiego tam natłukła. W pewnej chwili tamten złapał za pistolet, wyciągnął i do mamy. Ale się opanował i schował. Po jakimś czasie mama przyszła. Pani Ziejowa pyta: "Bój się Boga, coś ty mu powiedziała?" A mama, że powiedziała mu, że nich ją na miejscu zamorduje, bo przez niego od nich wszyscy Polacy się odwrócili. ~~Oni~~ Że NKWD to skurwysyny i bandyci. Na to on powiedział: "No, Nietupskaja, smotri, czto by ja tiebie nie lubił, toby ja tiebie podrastrieł." Biernatowie, Ziejowa mówią: "Musimy wziąć te paszporty, bo nam żyć nie dadzą, poaresztują. Jak przyjdzie czas, to na pewno Polska się o nas upomni." Zdzisław Biernat wziął, matka wzięła, Hanka Turówna i tak pomału wszyscy zaczęli brać. Akcja ta trwała do roku. Potem wracali do Polski, ale wracali ci, którzy mieli kogoś w Polsce, którzy dostali z Polski zaproszenie. Ale jak wzięli te paszporty, to życie potoczyło się normalnie, jak do tej pory.

NKWD też nie zwolniło mamy z artelu. Zwróciła ~~się~~ się do Urzędu Ziemskiego w Krasnojarsku. Krasnojarsk nie dał rady. Napisała wtedy do Wasilewskiej. Rzeczywiście Wasilewska przysłała pismo do przewodniczącego artelu, żeby zwolnił do pilnowania dziecka, do zdobycia środków na życie. Niestety nie zwolnił. Nikt nie był na siłach zwolnić jakiegokolwiek Polaka. To już było po paszportyzacji. "Chociesz kuszat, rabotat nada." Wtedy mama napisała do Wasilewskiej jeszcze raz, że ona już nie może pracować, Ziejowa jest chora, córka jest chora, a to, co ona dostaje w artelu, nie wystarcza nawet na jedną osobę. Pewnie się Wasilewska zdenerwowała, że jej nie słuchają. Użyła jakiś ważnych argumentów i wysłała telegram na NKWD, żeby natychmiast zwolnić. NKWD wezwało przewodniczącego artelu, ale on zwolnić nie chciał. Wtedy wymyślili z zakrojnikami dla mamy szykany. Nie dodawali to rękawa, to nici, przez złośliwość nie dawali materiału. Niby przy mamie pakował kufajki, a to nie było rękawa, albo kołnierza. A z czego robi, jak nie było materiału. Wtedy poszła na skargę do priedsiedatiela. On wyzwał mamę, że złodziejka, że przestała wyrabiać normy. Rosjanki za to zaczęły się denerwować, że mama podbija normy. U nich było tak: jak wyrobisz 100 % normy, to ci dadzą 120 do wyrobienia, wyrobisz 140, dadzą 140 itd. A gdy już nie mogły przekroczyć siebie, to na tablicę za sabotaż. Mama się zdenerwowała i ~~tego priedsiedatiela~~ ~~XXXXXXXXXX~~ pobiła. Aż uciekał dookoła stołu. Wszystkie te Rosjanki miały go ^{dość} ~~bo~~ bo to była kanalia. Priedsedatiel w końcu się śmiał, ale podał mamę do sądu. Na szczęście mama miała znajome komandirszy i lekarki. Poleciała do swojej lekarki i powiedziała: "Ratuj mnie, bo mnie wyślą na margantowku." Tak się nazywała kopalnia nadmanganianu potasu. Lekarka mówi: "To będzie kosztować, bo ja sama nie mogę tego zrobić, to musi być konsylium." Dla mężczyzn trzeba było wódkę kupić, dla kobiet jeszcze mama coś miała.

Jeszcze była bransoletka złota, którą mama uchowała. Tę bransoletkę poświęciła dla lekarki, żeby się o wszystko wystarała. Innej dała pończochy polskie. Przekupiła ich. Wyrobili mamie wariackie papiery, i to ją uratowało. Były pewne podstawy, bo mama pojechała tam z silną nerwicą. Na tym się skończyło i mama pracowała już tylko w domu. Było już lepiej, bo i chleb był i mama mogła dopilnować mnie i Danusię Ziejową.

Teraz o tym jak chodziłam do szkoły. Była to szkoła rosyjska. Nazywała się 34 Żeleznodorożnaja. Mam jeszcze legitymację. Chodziłam do klas 3, 4 i kawałek 5. Trudno mi było uczyć się, bo nie znałam rosyjskiego. Ale jakoś pomału ten język poznałam. Uczono nas oczywiście cały czas o Stalinie, pieśni, kantaty. Wszystkie dzieci musiały nauczyć się nowego hymnu, tego zmienionego. Ja się nie mogłam nauczyć, bo po tym zapaleniu opon mózgowych już się nie nauczyłam ani jednego wierszyka. Pamięciowego opanowania nie potrafię do dziś. Siedziałam po lekcji 4 godziny i jakoś się nauczyłam. Ale raczej nauczyłam się potem, śpiewając ten hymn.

Uczono nas różnych przedmiotów. Przede wszystkim miłości do Związku Radzieckiego. Jak to w radzieckiej szkole. Nawet chciano pioniera ze mnie zrobić. Nawet chciałam tym pionierem zostać. Ale mama mi kijem wybiła z głowy tego pioniera. Nauczyciele byli różni. Byli też dobrzy. Rosyjskiego uczyła mnie pani Stankiewicz, z pochodzenia Polka. Mieszkała tam od lat, była Rosjanką. Natomiast była tam taka Wiera Nikołajewna, uczyła matematyki. Bardzo nie lubiła Polaków. Gdzie mogła, tam ich przesładowała. Nie miałam nigdy z matematyki dobrego stopnia. Gdy już mieliśmy wyjeżdżać do Polski, ona chodziła i mówiła: "No i czoż nie widiet twojej Polszy, kak swojewe ucha biez zierkala." To była duża szkoła na tamte czasy. Podobna do naszych. Trudno coś ciekawego powiedzieć. Ja miałam dobrze, bo byłam jedna, więc mama miała warunki, żeby mnie posyłać.

nawet miała na tyle możliwości, żeby mi kupić nowe pimy - wojskowe zimowe. Gdy zimą był mróz 40^o, to była jedyna ochrona. Ale były też inne warunki. Moja przyszła teściowa miała pięcioro dzieci. Jak jednego dnia do szkoły szedł Heniek, to drugiego dnia drugi. I takich rodzin było wiele. Te dzieci do szkoły nie chodziły. Nie stać ich było na nowe pimy. Moja mama też sobie nie kupiła. Miała tylko stare, połatane. Ja chodziłam przyzwoicie, dobrze ubrana na tamte czasy. Natomiast mama miała spódnicę taką, że była łata na łacie i dziura w łacie. I tak chodziły Polki. Tam nawet Rosjanki nie miały futra. Tam były takie futra ściągnięte ze zwierzęcia, noszone włosiem na wierzch. Na takie rzeczy Polaków nie stać było. Po pierwsze nikt z Polaków nie miał broni, żeby polować, po drugie - nie miał pieniędzy. To co z UNRRY przyszło, to się łatało. Wasilewska jakieś koce przysłała, to się spódnice, chusty z tego robiło.

To trzeba powiedzieć. Ja nic złego o Wasilewskiej nie słyszałam. Na ile mogła, wyszukiwała Polaków, dzięki niej zostały stworzone ochronki. Matki pomarły, a najczęściej to były matki z dziećmi, bo ojciec uciekł, był w partyzantce, zginął w Katyniu czy był zabrany do obozu. Wasilewska stworzyła te ochronki w różnych punktach Związku Radzieckiego, w skupiskach polskich. Te dzieci nie ginęły w masie rosyjskiej. I te ochronki były sprowadzone najpierw. Dopiero potem inni Polacy. Ona utworzyła ZPP. My na to dzisiaj patrzemy inaczej. Wtedy to było przybliżenie do Polski, więc wszyscy gremialnie zapiędywali się do ZPP. Poza tym ona jakoś o tych Polaków walczyła ze Stalinem. I to się czuło, bo na przykład przysłała "Pana Tadeusza" czy większą ilość gazet. Hanka Grondzielowa, skarbnik naszej grupy, zbierała te gazety. Wydaje się, że po Sikorskim takim aniołem opiekuńczym była Wasilewska. Dla innych, nie wiem, ale dla naszej grupy na pewno. Wszędzie była ta pomoc. Choć

ileż tej pomocy było. 3 worki mąki na ponad 2 tysiące ludzi. Jak UNRRA szła, tego było dużo. Pomoc od Wasilewskiej to trochę żywności, koce.

9 maja 1945 r. koniec wojny. W naszym pokoju było radio kołchoźnik, nazywane "toczka". Było to chyba nad ranem 6 maja. Toczka powiedziała, że koniec wojny. Wszyscy stanęli na nogi. Krzyk się zrobił straszny, że jedziemy do Polski. Nie to, że koniec wojny, ale że jedziemy do Polski. Mama mówi: "Biegnij do Biernatowej!" Nałożyłam coś na siebie, choć tam maj to jeszcze zima i biegiem do Biernatowej, ale ona już wiedziała. Pani Ziejowa już rozpoczęła starania. Pierwsze kroki do NKWD. Tak to się zaczęło. Jak to było, jak ona to załatwiała, nie wiem. Wiem tyle, że powiedzieli, że wszyscy Polacy wyjadą. Było chyba porozumienie tam na górze, Wasilewska, Lange i inni ze Stalinem. Ale trwało to miesiąc, dwa, trzy. Transport miał być podstawiony, tyle że należało przedstawić władzom NKWD zaproszenie z Polski. Chyba o tych zaproszeniach niektórzy wcześniej wiedzieli, bo już je mieli. Zaproszenia przychodziły powoli, pojedynczo, rodzinami składano papiery. Mama też przez kogoś dostała. Jakiś Ruski, oficer, wyjechał do europejskiej części ZSRR i mama dała jemu list do babci, żeby przysłała zaproszenie. Pani Ziejowa rozpoczęła starania o prowiant. Władze miejskie musiały

nas zaprowiantować. Starania te trudno szły. Długo nic nie było. I trwał ten proceder wyzywów, starań o zaprowiantowanie. Po drodze można by było coś kupić. Każdy miał jakiś grosz, coś zbierał przez te 5 lat, coś sprzedawał. Nie było ludzi bez grosza, bo zawsze Polak coś wykombinował. Trwało to od 9 maja 1945 r. do końca lutego 1946 r. Kiedy wszyscy mieli wszystko przygotowane, pani Ziejowa sciągnęła do naszego domu prowiant, to były suchary, chleb, mąka, jakiś tłuszcz, jakieś konserwy, mleko w proszku dla dzieci. To wszystko leżało u nas w sieni.

To wszystko bardzo długo trwało. Już transport mają podstawić, wszyscy szykują się, biegną na dworzec, gdzie transport ma być podstawiony, żeby wpaść do wagonu i zająć jak najlepsze miejsce. Bo to były bydlęce wagony podzielone na nary. Aby tylko być na górze, nie na dole. A moja mama i pani Ziejowa wcale się nie starają. Ja biegam razem z ludźmi, a one nic. W końcu mówię do mamy, że ona i pani Ziejowa chyba zostaną w Rosji, bo nie chcą jechać do Polski. Mama mówi: "Nic się nie martw, bez pani Ziejowej nikt nie pojedzie." Ludzie stali, czekali, a pociąg się nie zjawił. Wracali z powrotem. I tak było chyba 4 czy 5 razy. Zapowiadali, że o godzinie tej i tej będzie podstawiony pociąg. Niektórzy przyjeżdżali z tłumokami, grami, a tu nic. Niektórzy nawet byki wynajmowali, żeby pościel czy ubranie przewieźć. Celowo tak mordowali ludzi. Pani Ziejowa ciągle coś załatwia, molestuje. To ją przetrzymują, to mama biegnie ją ratować, bo jak trochę za bardzo zaczęła się starać, to ją wsadzali na 48 godzin. To znowu Zdzicha Biernata, ^{zamknęli} jak poszedł ~~z Ziejową~~ ^{po Ziejową}, bo jej nie było kilka dni. Tak jakos to trwało ponad rok. Mordowali, wykańczali ludzi psychicznie. W końcu jest transport, stoi. Boże, co to się działo! Polacy, jakby ten pociąg miał zaraz odjechać, jeden drugiego depce, tratuje, krzyk, szum. Mama z Ziejową siedzą w domu i nic. Ja tylko krążę od transportu do domu, całą noc tak krążę. W końcu patrzę, a one śpią. Budzę mamę i mówię, że wszyscy Polacy już siedzą w wagonach, a my nie. Mama mówi: "Połóż się, odpocznij, bez pani Ziejowej nikt się nie ruszy." One spały, a ja namówiłam Zinkę, córkę gospodyni i sankami przewiozłyśmy graty. Już nawet miejsce znalazłam. Pyta się pani Gałkowa: "Danuska, a gdzie mamusia?" Ja mówię, że mamusia powiedziała, że później przyjdzie, ale ja się boję, że pociąg odjedzie, więc przywiozłam graty. Zostało tylko to, na czym one spały. Mama wstała, patrzy, gdzie to wszystko. Budzi tamte dwie i krzyczy, żeby jechać, bo pociąg odchodzi.

A one tak czekały na byki, żeby żywność przewieźć. Tego trzeba było pilnować. Dopiero byki przyszły i załadowano wszystko na pociąg. Oczywiście graty trzeba było przenieść do innego wagonu, bo pani Ziejowa musiała być przy żywności, bo ją później dzieliła. Razem byliśmy w jednym wagonie. I Biernatowie z nami /bo te trzy rodziny były bardzo związane/. Tylko Zdzicha już nie było, bo poszedł do armii Kościuszkowskiej. Już siedzimy w pociągu, już jestem szczęśliwa, już mamy jechać. A Ziejowa mówi: "Danuśka, musisz iść do goroda i przynieść worki." Na co to, ja już nie wiem. Powiedziały, że muszę, nie Danka Ziejowa, tylko ja. BO Danka to była taka pupilka. Wtedy zdecydowały: "To pójdziecie obydwie." "Tak, bo wy chcecie same wyjechać. Wy chcecie nas tu na zaturę zostawić. Ja nie pójdę, bo pociąg pojedzie." Tak się bałam. Tak chciałam jechać do Polski. Poszłam po te worki z płaczem. Oczywiście Danka nie poszła. Pamiętam, że idę, brnę w śniegu, już na przełaj, nie drogą, żeby szybciej. Płaczę, łzy mi się leją, śnieg oblepia. Wreszcie te worki wzięłam. Biegłam z powrotem. Potem nie dałam się wyciągnąć z pociągu. A pociąg stał jeszcze trzy doby. Przyszła cała klasa, z panią Stankiewicz. Żeby się ze mną pożegnać. Wołali mnie, żebym wyszła, ale nie, z wagonu na krak nie wyszłam. Wreszcie pociąg rusza, a Danki Ziejówny nie ma, bo do Danki też klasa przyszła i ona też gdzieś wyszła. Krzyku narobiłam, wrzasku, a on nie ruszał, tylko manewrował. Tak manewrował przez całą dobę. W końcu odspiewaliśmy "Wszystkie nasze dzienne sprawy", pomodliliśmy się całym wagonem. Wszystko śpi. Ja się budzę, pociąg jedzie. Jak krzyknęłam na cały wagon i z pryczy w dół. A tam był rozpalony piecyk. I żeby nie Gołko, taki chłopiec 16-letni, tobym spadła na ten rozpalony piecyk. On mnie złapał, a ja nie patrzyłam na nic, tylko wrzeszczałam, że jedziemy do Polski. Tak się zaczęła nasza jazda do Polski.

Jechaliśmy cały marzec. Przyjechalismy na wielką Sobotę. Jechaliśmy trasą Transsyberyjską: Omsk, Nowosybirsk, przez Jenisej, Ob, Ural. W tamtą stronę jechaliśmy przez Ural przez 5 czy 6 tuneli, a w tą stronę przez jeden tunel 20-kilometrowy. Strasznie długi, że aż wszyscy zaczęli się dusić. Umówiliśmy się, że musimy dopilnować, jak będzie wyglądać granica między Europą i Azją. Ja i jeszcze jakaś dziewczyna. Chyba nas pięcioro było. Prawdopodobnie miało się to już zbliżać i myśmy wyszli na pomost między wagonami. Wyszliśmy tam, żeby oglądać Ural. Naraz wjechalismy w tunel. Nie przewidzieliśmy tego i tego, że ten tunel będzie taki długi. Tam rodzice odchodzili od zmysłów. Po wyjechaniu z tego tunelu byliśmy czarni. Jak spojrzalam na innych to się uśmiełam. Na najbliższej stacji poszliśmy do wagonu. Nie było czym umyć tej sadzy, bo mydła tyle, co mama ugotowała, ale po kilku myciach jakoś nas domyli. Nie zobaczyłam granicy Europy. Tylko Hania Turówna, gdy jechaliśmy bardzo wysokim wąwozem z drózką nieba w górze, pokazała mi dwie wskazówki. W tamtą stronę jest Europa, w tę Azja. Drugą przygodę miałam w Moskwie. W tamtą stronę nie jechaliśmy przez Moskwę. Ja wszędzie musiałam wleźć. Na większych stacjach dawali zupę. Trzeba było iść do garkuchni z wiadrami i oni dawali zupę. Ja koniecznie chciałam pójść po tę zupę, ale mnie nie wzięto. Wskoczyłam i pobiegłam za swoimi. Nie widziałam, że między torami był jakiś dół. Wpadłam do jakiegoś smaru, jakiegoś czarnego płynu. Wylazłam stamtąd cała ociekająca, usmarowana. Ktoś mnie stamtąd wyciągnął. Ale zgu biłam drogę. Przerażona, wystraszona, nie wiedziałam, gdzie mam iść. Zaczęłam iść pod wagony, ale zgubiłam się. Wreszcie zaczęłam płakać. Stał tam eszelon, pełny żołnierzy radzieckich. Pytają, czego ja płaczę. Ja mówię, że zgubiłam swój transport. ** "A my тебе, dziewczka, w czas zawiediom." Żołnierze wyskoczyli i oddali mnie kolejarzowi. A kolejarz mnie doprowadził do pociągu.

I lanie dostałam wtedy, a te smary się nie odmyły. Dopiero na jakiejś stacji mama dostała jakiś środek. Poza tym chciałam koniecznie Moskwę zwiedzać. W Moskwie stalismy chyba z 5 dni. Poszliśmy z Gołką zwiedzać. Też nas przyprowadziła milicja. Ja dostałam wtedy lanie i on dostał lanie. Potem pojechalismy. Taki tragiczny moment był tutaj, już na dawnych polskich terenach. Tu, gdzie były Baranowicze, Wołkowysk może, tu, na terenach białoruskich.

W tym czasie grasowała tam banda UPA. Nasz transport stał w nocy i naraz transport poszedł, a nasz wagon został. Ktoś odczepił. Do wagonu zaczęli się dobijać jacys ludzie. Siekierami zaczęli bić w drzwi. Było paru mężczyzn, między innymi ten 16-letni Gołko. Jeszcze jakiś starszy pan był. Pytają, czego od nas chcą. A oni po ukraińsku, po białorusku, żeby wychodzić, bo nas muszą pozabijać. Wszyscy się wystraszyli. Byłoby tragicznie, bo chyba by nas zamordowali, ale w pociągu ktoś się zorientował, że brakuje wagonów, bo chyba kilka było odczepionych, pociąg wrócił i oni się rozbiegli. Nas doczepiono i w ten sposób uratowano.

Przecudowny był moment na pierwszej polskiej stacji. Ale już Polski Ludowej. Czy to był Terespol, czy inne miasteczko. Tu na terenach polskich ludzie przynosili chleb, mleko, kawę z mlekiem, kakao. Dawali jeść i pić, bo to ludzie jadą z Syberii. W pewnej chwili Hanka krzyknęła, że żołnierz polski stoi. To było na pierwszej stacji. Nasz wagon się zatrzymał naprzeciwko tego żołnierza. Wszyscy wyskoczyli. Każdy chciał go dotknąć, każdy chciał chociaż dotknąć płaszcza polskiego żołnierza. A on uciekł, biedny.

Dojechalismy do Białegostoku i tu się nasze drogi rozchodzą. Część ludzi zostaje w Białymstoku. Białostoczczyzna cała była wywieziona. Ludzie się rozjeżdżają. Ale cały transport jechał dalej do Sokółki, bo ten transport wyjechał z Sokółki i wracał do stacji, z której wyjechalismy. Z transportu ludzie mogli wysiadać już po

drodze, ale ten transport miał za cel Sokólkę. W Białymstoku przyszła ciotka, bo wiedziała, że jadą z takiej miejscowości i szukała nas. To była siostra mojej mamy. Idą ludzie do swoich, odwiedzają się, odnajdują, spotykają. Tak się wiatją i całują, płaczą, a do nas nikt nie przychodzi. Ja stoję i czekam. Mówię: "Widzi mama, a do nas nikt nie przychodzi." Mama mówi: "Czekaj, w Sokółce przyjdą." Naraz widzę, idzie jeszcze jakas dama, męższyzna i kobieta. Skręcają do naszego wagonu. Dama pyta? "Czy jest tu Nietupska?" Ja mówię: "Mamusiu, to do nas." To była siostra mojej mamy. Też przyniosła jedzenie, jakieś bardzo dobre jedzenie. Ja się od razu dorwałam, oczywiście nie dają mi jeść. Miałam taki żal. Tyle smacznych rzeczy, a mi nie chcą dać, tylko troszeczkę. Ciotka chciała, żebyśmy wysiadły, ale mama mówi "nie", bo tam matka czeka. Babcia została w domu, wyszły ciotki. Biegają, krzyczą: "Czy tu jest Nietupska? Dlaczego nie przyjechała?" Przebiegają koło nas. A mama stoi. Stoi ciotka i krzyczy: "Nietupska, Janka, gdzie jesteś?" A mama mówi: "Czego wrzeszczysz, ja tutaj." Ciotka zaczęła płakać. Nie witały się, tylko płakały. Mama była bardzo chuda, w tym ubraniu, w spódnicy z wieloma różnokolorowymi łatami, w pimach połatanych. Wyjechała elegancka kobieta, a wróciła straszna. Na głowie chustka z koca - jak wyjeżdżałyśmy, to tam był mróz. A ciotki były w sukienkach. Jak już się napłakały, dopiero wtedy rzuciły się do całowania. Moje koleżanki też wyszły i też przechodzą i nie poznają. W końcu patrzy się jedna na mnie i mówi: "Słuchaj, tej Danusi tutaj nie ma." Patrzy na mnie i mówi: "Popatrz, jaka ta dziewczyna Łachman jest." A ja się odwróciłam i mówię: "Łachman, ale to jestem ja." One zabrały mnie i pobiegłyśmy do babci. Babcia była u sąsiadki. Nie miała już siły siedzieć sama w domu i czekać. W domu nikogo nie było. Wbiegam na ganek i już zaczynam płakać, że babci nie ma. Ale patrzę, że idzie i krzyczy do mnie /babcia pochodziła ze wsi ~~xxmówiła~~ i jak była w dobrym humorze, to mówiła językiem białoruskim /: "A mająż ty dziatęńka, jak ty wyglądasz?" Potem powitanie.

Moja mama tak do swojej matki: "Mama, niczego nie chcę, tylko dużo chleba i kartofli." Pierwszą noc przespaliśmy. Babcia nas nakarmiła. Zbiegli się wszyscy ludzie, sąsiedzi. Ranne mleko, które wypilałam - czy to one spowodowało, czy zmiana klimatu - wywołała atak choroby. Spimy w nocy, pani Ziejowa, mama, ja i Danka i naraz słyszemy straszne jęki. Mama się budzi i mówi: "Co to jest?" W budynkach koło domu babci było wojsko i NKWD. Teraz z powrotem usadowiło się wojsko i UB. W kazamatach na dole budynku UB jęczeli Polacy, akowcy. Babcia mówi: "To nasi, Polacy, jęczą tam. Polacy okrwawiają Polaków." W białostockim była bardzo rozbudowana i prężna partyzantka. UB łapało ich i tu wszystkich trzymali. Na przeciw babci były przesłuchania. Był taki Nalewajko. Potem mówili, że to ciotki mąż, bo ciotka też Nalewajko. Wszyscy się od ciotki odwrócili, ale to nie był nikt z rodziny. Nawet z rodziny Nalewajków. On był znany jako kat sokólski. Jak się zmęczył, to wychodził z podwiniętymi rękawami, ręce pokrwawione. Po przesłuchaniach w tych piwnicach leżeli ludzie i jęczeli. Tych jęków było zawsze bardzo dużo. Potem się już przyzwyczailiśmy, ale to bardzo długo trwało. Tak się trafiło do Polski. Tego kata sokólskiego zlikwidowano. Jechał z Białegostoku i ktoś go wyrzucił z pociągu. To był 1946 r. Grupy partyzanckie jeszcze tam były. Tam długo była opozycja. Potem wyjechaliśmy do Janowa. W Janowie mama i ja byliśmy świadkami pewnego zdarzenia. Był taki milicjant, który wyłapywał ludzi z lasu. Dostał on trzy ostrzeżenia, jak opowiadano później. Dostał trzy ostrzeżenia, żeby przestał maltretować ludzi. Nie przestał. Za trzecim ostrzeżeniem, my wchodziliśmy na mszę do kościoła, a ludzie wychodzili. Na naszych oczach dosłownie przyjechał samochód pełen żołnierzy ubranych w polskie mundury. Żołnierze wyskoczyli szybko i zastrzelili wychodzącego człowieka i jakiegoś drugiego - pewnie pomocnika. Wsiadli w samochód i odjeżdżali, ale wrócili, zostawili na nim jakąś

kartkę. Pozabierali broń, amunicję i dopiero ludziom "pa, pa" zrobili i odjechali. To był wykonany wyrok.

Jak przyjechaliśmy do Janowa, był tam brat mojego ojca. Ojciec zginął w Janowie już po wojnie. Przygotowywał wszystko na nasz przyjazd, bo my przyjedziemy gołe i bose, więc wszystko robił, żeby było z czym zacząć życie. Ojciec mój był saperem. Kiedy wojsko polskie w 1945 r. miało przejść przez Janów, przyszedł kolega ojca, też saper i mówi: "Musimy, Władek, pójść rozminować łąkę i mostek przy ulicy Sokólskiej." Pewnie, sapera nie trzeba długo prosić. Poszli i wyjęli 16 min. Kolega zreflektował się i mówi: "Władek, uciekajmy stąd, bo tu końca nie ma, a chyba i z nami koniec będzie." Ojciec mówi: "Zaraz, zaraz, bo tu jeszcze jest jedna mina." "Ja ją czuję." I to była ostatnia jego mina. Prawdopodobnie, jak opowiadał ten kolega, wyrzuciło go w powietrze i on jeszcze czuł i krzyknął: "Józek, nie mam nogi!" i padając uderzył łokciem drugą minę. Rozewało go na kawałki. Ludzie mówili, że dziadek mój zbierał syna do prześcieradła. To było w 1945 r. A myśmy przyjechały w 46 r. Tak że ojca od roku nie było. Ale był brat ojca. Osiedlił się on koło Szczecina, w poniemieckiej wiosce. Mówi on do nas: "Wezmę was do siebie, odkarmię, ubiorę, a potem, co będziesz chciała, to zrobisz." Pojechaliśmy tam. Byliśmy tam przez trzy miesiące, jeszcze przez lato. On oświadczył się mamie. Mama odmówiła. Była przestraszona, żyła jeszcze Syberią, mówiła, że nie może się przyzwyczaić do nowej sytuacji, a on jej tu mówi o żeniacze. I uciekła. Zabrała mnie i pojechaliśmy z powrotem. Pojechaliśmy do Białegostoku do ciotki. Akurat wrócił ciotki syn spod Berlina. Doszedł z wojskiem do Berlina jako syn pułku. Wracając zahaczył o Legnicę, bo w legnicy mieszkał narzeczony jego siostry, Olek Kolendo. U niego się zatrzymał. Była tam też już i jego siostra, która przyjechała z Białegostoku do

narzeczonego. Wszyscy postanowili zamieszkać w Legnicy. Leszek znalazł mieszkanie, byle jakie, chociaż można było piękne mieszkania znaleźć, a on znalazł na 3. piętrze pokój z kuchnią, jakąś pierzynę skombinował, jedno łóżko i to wszystko. Więc kiedy byliśmy w Białymstoku, on przyjechał i mówi do mamy: "Przecież nie macie nic. Ani domu nie macie, bo dom spalony, męża też nie ma, niech ciocia jedzie z nami." Pojechaliśmy do babci i mam mówi: "Jadę do Legnicy." W ten sposób znalazłyśmy się w Legnicy w sierpniu 1946 r. We wrześniu już poszłam w Legnicy do szkoły.

Z Białegostoku jechałyśmy pociągiem towarowym, od przypadku do przypadku. Jak pociąg w tę stronę szedł, to nas doczepiano. Część ludzi w Warszawie zostało, my przyjechalismy do Legnicy. Mama pracowała w domu.

Przeżycia na Syberii trwale wpłynęły na mamę. Mama była zagubiona, przestraszona, ciągle w strachu przed czymś. "My tu nie będziemy, bo będzie wojna." "Ja tego nie mogę zrobić, bo mnie mogą zabrać i wywieźć na Syberię." "Ja tutaj nie pójdę, bo mnie mogą aresztować." "Nie wolno się przyznać, że się było na Syberii." Jak odjeżdżaliśmy, każdy musiał podpisać, że nie powie, co się działo tam, na Syberii, w jakich warunkach był, jaki był stosunek Roskich do Polaków itd. Jak przyjechało się tutaj, to było takie zastraszenie, że można w każdej chwili wrócić, że mogą tam z powrotem wysłać. Myślę, że moja mama do śmierci się nie odnalazła. Chciała pracować, a bała się. Proponowano mamie pracę w "Hance", ale trzeba było skończyć kurs, a na to trzeba było się przyznać, że się było na Syberii. Trzeba było jakieś dokumenty przedstawić. "Jak ja przedstawię, jak mi nie wolno powiedzieć, że ja tam byłam." Taki jakiś strach. I tak jak tam była odważna, dzielna, to tutaj była przegaszona, zastraszona. Nje odnalazła się. Szybko wyszła za męża.

żeby nie być samą. Żeby ktoś obronił. Właściwie mama miała parę takich momentów, że mogła wyjść za mąż, ale ja tamtych ludzi nie akceptowałam. Dopiero tego Ilnickiego zaakceptowałam, bo oni umieli ze mną postępować. Chociaż to nie było zbyt szczęśliwe małżeństwo, ale już stało się. Mnie się wydaje, że mama dlatego wyszła za mąż, żeby ktoś był, kto będzie ją bronił, kto będzie za nią odpowiadał. Chciała mieć jakieś oparcie. Nie poszła do pracy. Nie potrafiła pójść do pracy. Może to i była nasza wygoda, moja i ojczyma. Przychodziło się do domu, ojciec przychodził do domu i miał obiad gotowy, mama rozumiała, że on ciężko pracuje. Ja chodziłam do liceum pedagogicznego. Ale nie tylko to. Mama straciła swoją dzielność. Ale pracowała w domu bardzo dużo. Szyła i to Ruskim.

1. Boruch - miejscowy żyd, podczas okupacji sowieckiej 1941 przed-
siedział w Janowie pow. Sokółka woj. Białystok
2. Baranowska - Polka deportowana w 1937 r. z Winnicy, w latach
1942-46 w Użurze, Krasnojarski Kraj, w 1946 władze
nie pozwoliły na jej powrót na Ukrainę.
3. Geneta Miernej z d. Nietupka, ur. 10.XI.1931 w. Ciarke Jeniny i
Władysław; w chwili wybuchu wojny - uczennica. Wywie-
ziona w czerwcu 1941 r. z Sokółki po ukończeniu rocznym
ukrywaniu się. W latach 1941-42 na zesłaniu w kolchozie
Kosoj Łeok, rej. Szaripowa, obl. Użur. Od I 1943 r.
w Użurze, Krasnojarski Kraj. Przyjazd do PRL III 1946.
4. Bronisława Miernej - rodzina polskich
zesłańców
5. Barbara Miernej - córka Bronisławy, w miejsc. Użur,
Krasnojarski Kraj,
1942/1/ - III 1946 r.
6. Henryk Miernej - syn Bronisławy
7. Jarek Miernej - syn Bronisławy
8. Stanisław Miernej - córka Bronisławy,
9. Zdzisław Miernej - syn Bronisławy, wkt. oficer LWP w stopniu
generała.
10. Czesław Borys - w latach 1942-43 na zesłaniu w Użurze, były
 żołnierz kompanii wrzesniowej, choć na gruzie. Po
wyleczeniu się wstąpił do Dywizji Wołciuskowskiej,
poległ pod Lenino.
11. Czesława Borys - siostra Czesława, nauczycielka, w latach 1942-
46 na zesłaniu w Użurze.
12. Iwona Borys - córka Czesławy, losy jak matka.
13. Borys - ojciec Czesławy i Czesława, zesłańca, zatrudniony
w psiarce kolchozu w Użurze.
14. Gdeszkiewicz - rodzina. Ojciec i dwóch synów w latach 1943-
46 na zesłaniu w Użurze. Matka i co najmniej jedno dzie-
cko zmarli wcześniej na zesłaniu.
15. Łokowa - w latach 42-46 na zesłaniu w Użurze ~~xxxxxxxxxxxx~~.
16. Łokko - syn p. Łokowej, ur. ok. 1930 r., losy jak matka.
17. Narzędzewski - rodzina polskich zesłańców w kolchozie Kosoj
Łeok; rej. Szaripowa, obl. Użur, Krasnojarski Kraj.
P. Narzędzewski był nieformalnym "przewodniczącym" grupy
polskich zesłańców pracujących w tym kolchozie.

19. Małewska - pracownik UB w Sokółce w 1946 r. Zlikwidowany przez ruch oporu w tymże roku.
20. Janina Nietupka - urodzona w 1913 r. Matka Danuty /akt. Biernst/, autorki relacji. Do wojny współwłaścicielka - wraz z mężem - sklepu w Janowie k. Sokółki. Wywieziona na Sybir w VI 1941 r. Dalsze losy - jak córka 2 - matka Danoty Tiernat.
21. Kazimierz Nietupski - stryj autorki, śandarm. Wywieziony zimą 39/40 r. z Janowa k. Sokółki, zginął bez śladu.
22. Władysław Nietupski - mąż Janiny, ojciec Danuty. Współwłaściciel sklepu w Janowie. Uczestnik wojny 1920 roku, kawaler VM. W 1939 r. uciekł pod okupację niemiecką. Zginął w 1945 r. podczas rozbrajania miny w 1345xx Janowie.
23. Zofia Pachalska - zesłaniec z woj. Białystok. W latach 41-42 kołchoz Krasnoj Łazok, rej. Szeripowo, Obl. Uzur. Od 1942 do III 1946 r. Uzur, w marcu wyjazd do PRL. Po IV 43 r. mąż zaufania ZPP w Uzurze.
24. Salzman - kolonista niemiecki z okolic Janowa, pow. Sokółka. Wywieziony na Sybir w VI 1941 r.
25. Sawicka - Cyganke, sprzętaczka MKWD w Sokółce w 1941 r.
26. Stankiewicz - nauczycielka jęz. rosyjskiego w szkole podst. w Uzurze w latach 43-46. Polka z pochodzenia.
27. Szymanska - matka Ireny i Jadwigi. Wywieziona z Sokółki w VI 1941 r., na zesłaniu w kołchozie Krasnoj Łazok, rej. Szeripowo.
28. Irena Szymanska - córka poprzedniej, chora na gruźlicę. Losy jak matka.
29. Jadwiga Szymanska - córka nr 27. Losy pocz. jak matka. Od 1943 r. aktywna w ZPP w Krasnojarsku i w Moskwie. Po przyjeździe do PRL pracowała w "Trybunie Ludu".
30. Tendrowski - komendant policji w Janowie d. pow. Sokółka, zginął w ZSRR.
31. Feliks Trapiński - wujek autorki. Wywieziony zimą 39/40 r. do ZSRR zginął bez wieści.
32. Turowa - wywieziona w VI 41 r. z Sokółki lub Janowa na Sybir. W latach 1942-45 - Uzurze.
33. Danka /Anna/ Turcova - akt. Irządziel. Losy jak matka - matka nr 32.

14. Trębicka - wywieziona z obolci Janowa, d. pod Sokółka wraz z piętką dzieci. Zmarła na zesłaniu w Użurze.
15. Julia /Trębicka/ - na zesłaniu w Użurze w latach 41-45, przedtem w kopalni złota. Przewieziona do Polaki dwójką dzieci Trębickiej /pozostała w cioci z Domem Dziecka/, wyszła do ich ojca, nazwisko pod którym była na zesłaniu nieznane.
16. Warkowa - z cerką. W zesłaniu w latach 41-42 w kołchozie Masoj Szok, Woj. Szarigorod, Krasnojarski Kraj
17. Otylia Wioja - nauczycielka w Janowie, żona komendanta policji /poprzednik Władysław Wioja/, który uciekł pod okup. niemiecką. Wywieziona w VI 41 r. wraz z dziećmi. Od 42 r. w Użurze, mają zaufanie ambasady polskiej powrót do Polaki w marcu 1946 r.
18. Danuta Wioja - córka Otylii, 10sy jej matka.
19. Jacek Wioja - syn Otylii, 10sy jej matka.
40. Szobow - pracownik NKWD w Sokółce w latach 40-41.

Dodatkowe informacje —

- Str. 2: Kaziemierz Niedupski (Kauder) wymierzony
z Janowa klaszary front Górków woj. Br.
tyśkok.
- Str. 56. Komendant policji (agenci w Katyniu)
Tendrowski (im. nie pamiętam)
— Nauka iurońska obecnie A. Grądziel
mieszkający w Jeleniej Górze
- Str. 10. Pani. Otylia Dzieja (Białystok ul. Pado-
dyjowskiego 6a m 18). Była wywiezio-
na z dwójgiem dziećmi Danutą i Je-
razym. Matka P. Dziejowej była w pewnym
okresie ser. komendantem policji
a ona sama była monterką.
Mieszkała ser. w Janowie.
- Str. 11. — Sprawy kobiety polskie z Chakasa mi bo-
dak było ciepły. Później abudowa-
no oddzielny szwad, sprawy jej
wtedy same.
- Str. 13 — Perchalska Zosia (Białystok)
adresu nie znam
najpierw z P. Perchalską, która opochi-
pacho do Mińska, synajstij miesz-
kanie, prociły i dopiero kilka
wykasydysimy do synajstego
upnektio mieszkała.
- Była do lata 1941 - 42
Ta sama osoba Zosia była Zosia
Perchalska

str. 16 - Felak (głównik) kresian Borys
później zginął pod demino
- przyprowadziła go F. Lusia Tuchal-
ska, przedstawicielka go uro. Łowoski.

str. 18 - Końko arystyenne prowadzito
F. kresiana Borysa, niestru. uro. Ło-
wanego zięmiectwa. F. Tuchalska
z obłąpani fajki sprawa daita. ro-
dzinę Łar. Borysa, byli do - ojciec
F. Borys, który potem pracował
na koczowniczej parcie - siostra
Łar. Borys - wchowywielka i jej cór-
ka. Zrodziła Borysa (w mielu
nieku). O ojcu nie wie mielu.
Łar. Borys mieszkała jeszcze w
Łd - Łachach w Krakowie uro.
Łd. Gredakiej
Łorka. zaś w Bydlinie (nie
zmau uelresu)
F. Tuchalska zająta się rekinę
Borysów, wyjeżdża kresiana do
kejsko kresiankowski. Wyne-
jeła im mieszkanie i sama
zamieszkała z mielu.

str. 19 To byli F. Głackiewicz (im. nie
pamiętam ani jego, ani jego
synów).

str. 20 - Warteł robot na obrzędach prac-
wała F. diejosa Odylia, a mały
pracował w kramieckim.

- Str. 20 - Koderianka, która krąży ze mną
wspie do pamięci dzieła
- Str. 20 - Narmiska jej kobiety nie ma
wspominała gdańsk obcy,
- Str. 21 - Narmiska jej nie pamięta
- Umarta zaś tobiecia (imienię)
nie pamiętam / pozostało 5 dzieł
Baranowska też była defor-
wana ale jej wreszcie z
Widniej - była to Polska mi-
kajca / na Ukrainie. Do son-
jej nie małem em. nie do-
tędo do mojej grzyby, nie
można było zadanie jej pro-
tu na Ukrainę.
- Str. 21 - Genion⁵ daieci nie pamięta
nie tylko że prokoshiiy
z Genowoi lub z ekolice.
- Str. 23 - Biernatowa Pralisiawa i jej
5 daieci
Biernat Lelisiaw (mięsko.
w brzeziecie chyba jest 5 rando
generata / która została Gor-
balnowa / na emmentaku w
riiskim.
Biernat Barbara (chyba kwał
mięsko w Plalivorku

Biernat Stanisława (Młabork)

Biernat Henryk

Biernat Jerzy

ul. Nadosa 23 (chyba)

Jaśm świetliki, foran nie miał
bo 2 były wiersz Henrykiem
nie utrzymany charakter.

To przedmiotem wykładu musi być pro-
bie za chaos palący w swoich wyso-
tiedziach. Nigdy nie udało się wyobrazić
a wspomnieć do były pierwszy raz
wymiarowane przez siebie epizodnie.
Jedyną przyczyną jest to, iż w spon-
daniczności swoich wypowiedzi. Dlatego
moje i mniejsza wartość jest tego opo-
wiedzenia.

Jeżeli jest wiele momentów, które
wyspiewałyby 2 paliszi ale
nie są najprawdopodobniej
może warto.

Przebadany ten wykład może
ale nie byłby do reszty
palmistka.

Jeżeli bardzo dążył do zainteresowa-
nie się sprawami zbrodni sta-
lińskich, oraz nieżyty, ich
świat i o nich wiedział.

nam jeszcze jedno, proszę do Państwa
podać adres i nazwę,
proszę miły mi pomiedziac' skąd Pa
je ma.

Nie miem długiego, ale są ludzie którzy
nie chcą spełnić warunków na te
długo. Jednak podobać je spróbuj
do obcego nie będą mieć przedu-
sji, a może wyprosić się.

Najchęć do posiadania miowaty
P. dziejeba z Białopostaka, ale to
skądśka 80 lat życia miś ma
niester i córka 'kai się albo mat-
ki każdego wzniesienia.

Nie wiem czy my potrzebny byłaby
epromise' o Państwie i P. Kuchalskiej,
był miem zainformuj i współpr-
kasać z N K S D (nie zdra-
dzać, ale utrzymać wódz elchre
głoszki z nimi. Iles to ona
danielie dary. Ale o tym mo-
że kiedyś inelziej.

Jeżeli Państwo coś wie o zmianie sybi-
raków w N-mie, to proszę mi pro-
dować informacje, kiedykolwiek mi-
niecie kontakt, coś robie' dla dzie-
miem zderzeni danych wchodząch
'Przyjaźni' →

porosloje sdaikana 20. vintse-
vesovskia

Dauk-Biernet